

Na przedstawienie „Burzy” w Teatrze Słowackiego wchodzi się specjalnym wejściem na scenę. Ustawiono tu krzesła dla widzów. Tuż obok nas i przed nami rozegra się akcja szekspirowskiej komedii, wyreżyserowanej przez nowego dyrektora, Jerzego Golińskiego. Niecodzienna to okazja, znaleźć się na słynnej, wielkiej scenie, na deskach, po których stąpali sławni aktorzy, nasze gwiazdy, cały niemal słownik biograficzny polskiego teatru. W górze wisi płatanina reflektorów, a pod nimi, na scenie siedzą władze stołeczno-królewskiego miasta Krakowa: wojewoda Piekarz z małżonką, dyrektor Fedorowicz z żoną Elżbietą. Nieopodal dyrektorstwo Bradeccy i dyrektorstwo Grabowscy, dyrektor Wacław Jankowski oraz Bogdan Tossa, reżyser i korespondent „Gońca Teatralnego”. Wśród publiczności dostrzegamy miejscowych recenzentów w sile czterech. Przybył też Jerzy Trela w towarzystwie bardzo podejrzanym.

Burza nie wybuchła

Nie dziwnego, że poczulismy się wzruszeni i przejęci. Atmosfera przepiętna była życiowością, naładowana wprost oczekiwaniem, że w naszym reprezentacyjnym teatrze wybuchnie wreszcie burza. Nie niszcząca, a odżywcza. Trwalismy tak, dopóki nie rozpoczęło się przedstawienie. Burza nie wybuchła.

Na scenie, czyli na „deskach świat oznaczających” zagrać można podobno wszystko. Pewnie dlatego zamiast poetyckiej, filozoficznej baśni pokazano nam po prostu sceny z „Burzy”, po kolei, od początku do końca. U Szekspira tworzą one kompozycję w miarę spójną. Tu okazały się chaotyczną, rozwichrzoną płataniną wątków i dziwacznych postaci, które pojawiają się nie wiadomo po co, mówią nie wiadomo co i wykonują czynności nie do końca zrozumiałe.

Jasne jest tylko jedno. Scena jest wyspą Prospera. Ale kto to jest Prospero, jaką ma władzę i skąd ona pochodzi? Albo kim jest Kaliban na przykład? U Szekspira to „dzikus o potwornym wyglądzie”; tutaj Krzysztof Jędrysek przebrany w kostium wietnamskiego partyzanta. Trochę za duży, ale podobny. Ariel przypomina orwellowskiego robotnika, zniewolonego, zaprzęgniętego do prac, które wykonuje z wielką gorliwością. Funkcja obu tych stworów w przedstawieniu pozostaje nie wyjaśniona. Do końca. Podobnie zresztą jak watek Mirandy i Ferdynanda.

Domyslać się można tylko, że Goliński zamierzał postawić nam przed oczy lustro — pokazać polskie piekło intryg, spisków i chamskiego prymitywizmu. Służą temu akcenty grubych aluzji w scenach dworu króla Alonza. Humor robią Trynkula i Stefano, czyli Tadeusz Kwinta z Andrzejem Grabowskim. Przyznać trzeba, że mało z kostiumów nie wyskoczy, tak się starają.

Wszyscy aktorzy, z Golińskim na czele, mówią bełkotliwie, mętnie i bardzo niewyraźnie.

Całym tym teatrem usiłuje władać Prospero. Dobroduszny, rozpaczliwie bezsilny, zrzuwany, daremnie udający wielkiego maga sztuki, Tadeusz Kantora.

BURZA jest jedną z najtrudniejszych komedii Szekspira. Teatr Słowackiego jedną z najważniejszych scen polskich. „Czym się stanie ta sztuka gotyna?” To pytanie Konrada z „Wyzwolenia” nadal pozostaje bez odpowiedzi. Ale prognozy nie są zbyt pocieszające.

ANNA MANTYKA